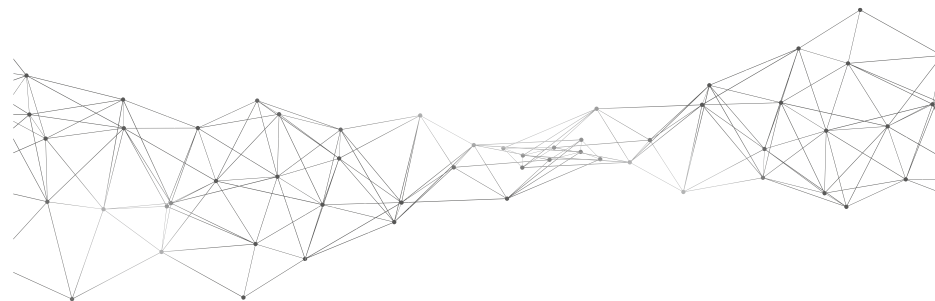




PIERWSZY

ROZDZIAŁ



Potem gdy rozpamiętywał w nieskończoność, jego myśli wciąż wracały do balu w wiedeńskiej operze; do tej niepowtarzalnej chwili, gdy pośród blasku kryształowych lamp, pośród wirujących w rytm walca kandelabrow, galowych mунdurów i koronek oznajmiał zdumionej lady Chatsworth, że nikt nie musi ich sobie przedstawiać, bo to on właśnie jest stwórcą tego świata.

Ale najpierw była rozmowa z Alem, menedżerem AC Games. Rozmowa, do czasu której Orin wciąż liczył, że jakoś z tego wszystkiego wybrnie. Właściwie nie; nie tyle liczył, ile faktu, że już nie może na to liczyć, wciąż jeszcze nie przyjmował do wiadomości. W tym dziwnym stanie nieprzyjmowania do wiadomości trwał przez kilka ostatnich tygodni. Wiedział, oczywiście, że ostateczny termin kontraktu na „Walca stulecia” upływa nieubłagannie i że wyszedł ze wszystkich wynegocjowanych limitów.

Ból może nie być jałowy,
jeśli tylko uda się go w coś przemienić.

James Jones, *Stąd do wieczności*

Wiedział, że powinien się jakoś przygotować do przykrej rozmowy, skonsultować z doradcą jej strategię, zgromadzić argumenty, przemyśleć zawczasu, z czego może po długich targach ustąpić, a co po prostu musi zostać, jak jest. Wiedział, ale jakby nie wiedział. To znaczy: wiedział nie on, tylko coś w nim wiedziało i bezskutecznie próbowało się z tą wiedzą przebić do jego rozsądku. A on z dnia na dzień odkładał przemyślenie tej sprawy do jutra, skupiając się na mozolnym sprawdzaniu muzealnych archiwów w poszukiwaniu dwumiejscowego nieuporta czy lodówki dla Trockiego – tak obsesyjnie uważnym, jakby zależały od niego losy całego świata.

Dopiero po rozmowie z Alem przestało to już być możliwe.

– Nie możemy tego zrobić, Orin – westchnął Al tak żałośnie, jakby to własną pracę niweczył tymi słowami. – Po prostu nie możemy, nawet dla ciebie.

Rozmawiali przez sieć. To by nawet Orinowi odpowiadało; coraz częściej czuł wręcz fizyczną przykrość na myśl o wyjściu z domu, a wszystkie te biznesowe rytuały i hierarchie, regulowane etykietą sztywną jak obyczaje dworu Ludwików, naprawdę mało go obchodziły. Odpowiadałoby mu to, gdyby fakt, że tym razem nie zaproszono go już na rozmowę osobistą, nie był ze strony koncernu jasnym, zrozumiałym komunikatem. „Twoja integrity podupała” – krzyczało każde z uprzejmych słów kontaktującego się z nim asystenta. Aby mu ten bezlitosny komunikat osłodzić, kiedy już przemierzył wszystkie olśniewające, kosztowne pejzaże głównych interfejsów firmy, Al przyjął go w swojej prywatnej komórce, w nieoficjalnym awatarze. Ten z kolei gest miał podkreślić dawne zasługi Orina

i to, że wciąż pozostaje dla koncernu kimś więcej niż tylko jednym z wielu kontraktowych kreatorów. Oczywiście, Orin wiedział doskonale, że to tylko trik obmyślony przez podprogowców firmy. Tak samo jak sposób, w jaki Al i inni menedżerowie koncernu prowadzili negocjacje – zawsze otwarci aż do bólu, jakby z całego serca pragnęli ci jakoś pomóc. Wiedział, że to sztuczki, ale mimo wszystko, jak każdy, dawał się tymi sztuczkami rozbroić.

– Uważacie, że to jest złe? – zapytał, zdając sobie sprawę, że w żadnym wypadku nie jest to reakcja, na którą jego rozmówca nie byłby doskonale przygotowany.

– Złe?! – Widmowa postać Ala, nachylona w kapitańskim fotelu, rozłożyła bezradnie ręce. – Daj spokój, chłopie, ty nie robisz złych rzeczy. To jest bardzo dobre. Więcej, po prostu wspaniałe. I właśnie na tym polega kłopot. Za dobre: rozmach, dopracowanie szczegółów, komplikacja fabuły, obfitość postaci... Sam schemat bazowy interakcji rozgryzałem parę dni. Przeszedłeś samego siebie, bez żadnej przesady. Tylko proszę, spójrz na to z naszej strony: koszty podstawowej obsługi co najmniej dziesięciokrotnie większe niż przy „Wilhelmie Zdobywcy”, a szanse rozpowszechnienia mniejsze.

– To po prostu coś nowego. Nikt jeszcze dotąd takiej gry nie zrobił.

Tego też nie chciał powiedzieć, dobrze rozumiał, że natychmiast stanie się żałosny. Nienawidził się za te słowa już w tej samej chwili, kiedy awatar Ala złożył modlitewnie ręce i wzniósł oczy ku sufitowi, jakby pragnął zademonstrować w ten sposób bogu menedżerów, z jakimi ludźmi musi się męczyć.

Prywatna komórka sieci Ala była zrobiona na kapitańską kajutę starego żaglowca i tak samo jak komórka

oficjalna wystawiała projektantom koncernu znakomite świadectwo. Każdy słój na ścianie, każde włókno zwinętej w kącie konopnej liny dawały stuprocentowe złudzenie rzeczywistości. Ciężki mosiężny zegar, przyśrubowany nad fotelem, lśnił pełgającymi plamami światła stylowej lampy naftowej, pokrywające blat papiery szeleściły przy poruszeniu, gdzieś zza ścian docierały szum morza i marynarskie pokrzykiwania, a cała kajuta zdawała się z lekka kołysać – tak delikatnie, że nie było się pewnym, czy to fale, czy tylko pobudzona tą scenografią wyobraźnia.

– Otóż to, chłopie, otóż to. – Al uśmiechnął się smutno. – Skoro nikt wcześniej nie zrobił takiej gry, to znaczy, że takich gier się po prostu nie robi. Gdyby to był interes, gdyby choć mogło się zwrócić, przynajmniej zwrócić, ktoś by już dawno się połuszczył.

– Nie zrozumiałeś mnie. Nikt takiej gry dotąd nie zrobił, to znaczy, że nikt nie jest w stanie ocenić jej szans w rozpowszechnianiu. Wasze ankiety mogą zbadać popyt na coś, czego ludzie się spodziewają, ale nie powiedzą ci nic o szansach rzeczy zupełnie nowej. Klienci muszą ją dopiero zobaczyć, spróbować i wtedy się okaże, czy to ich zachwyci.

Al uśmiechał się tylko łagodnie i smutno, jakby chciał pokazać, że docenia wiarę Orina, ale nie potrafi jej podzielić.

– To by oznaczało poważne inwestycje, nawet sobie nie zdajesz sprawy, o jakich sumach mówisz. Kiedy sprzedajesz coś, co klient zna i czego oczekuje, wystarczy się odwołać do tych oczekiwań. A tu musielibyśmy wykreować popyt od zera, przeprowadzić kampanię zdolną przebić inne i wzbudzić zainteresowanie nowością. Tego się już

nie robi. Wiesz, że ludzie dzisiaj w ogóle nie są ciekawi nowości, w żadnej branży.

– Oczywiście, że to by oznaczało inwestycję. Nie ma dużego zysku bez dużego ryzyka, w sztuce obowiązują te same prawa, co u was. Więcej tego samego, co się już spodobало, to recepta na mały sukces. Wielki sukces można odnieść tylko czymś zupełnie niespodziewanym, czymś, co zaskoczy i zachwyci.

Orin mówił to wszystko bez nadziei, że zdoła się przebić przez argumentację Ala. Po prostu uważał, że trzeba to powiedzieć.

– Chyba nie myślisz, Orin, że podejmowaliśmy decyzję bez dokładnych badań i kalkulacji? Wszystko, co mówisz, to oczywiście prawda. Tylko że nas w obecnej sytuacji rynkowej najnormalniej w świecie na takie ryzyko nie stać. Żeby uzyskać czterdziestoprocentową szansę osiągnięcia w pierwszym miesiącu rozpowszechniania dziesięcioprocentowego zainteresowania w segmencie potencjalnych nabywców, musielibyśmy zainwestować równowartość planowanych zysków z półrocz...

Głos Ala i jego intonacja nie zmieniły się ani odrobinę, ale rytm zdań zachwiał się gwałtownie – albo cytował jakieś ściągnięte z sieci dane, albo po prostu oddał głos systemowi eksperckiemu. Tak to jest z rozmową przez sieć: nigdy nie wiesz, co tak naprawdę ma w ręku człowiek ukryty za awatarem, nie wiesz nawet, czy ktoś tam w ogóle naprawdę jest. Właśnie dlatego biznesowa etykieta kazała tak celebrować rytuał osobistego spotkania.

Al urwał po kilku zdaniach, gdy tylko zauważył, że wysypywane na rozmówcę dane osiągnęły cel. Orin powtórzył jeszcze, że powinni wypuścić przynajmniej betę

i wysondować rynek choćby przez kluby, ale na te wszystkie „przecież” Ala nie mógł znaleźć dobrej odpowiedzi. Przecież tendencją światową jest geograficzna dywersyfikacja oczekiwań konsumentów, przecież segmenty rynku się oddalają, a ten europejski, poza którym „Walc” w ogóle nie może mieć szans, na dodatek przecież maleje, i coś tam, i coś jeszcze, w każdym razie, tak czy owak, AC musi minimalizować swoje koszty. Proste.

Al przeszedł do dalszej części rozgrywki. Znowu był teraz uosobieniem życzliwości.

– Naprawdę chciałbym z tego jak najwięcej ocalić. Tego rosyjskiego oficera i sprawę kolei transsyberyjskiej, to na pewno. Jest dobre tło, sceneria, jest pomysł na misję... No i ten nastrój. W tym jesteś znakomity, naprawdę. Tylko dodać jakąś sensowną kobietę, no i zredukować drugi plan.

– To właśnie drugi plan buduje nastrój.

– No tak... Tak, wiem. Zrozum, naprawdę to doceniamy, że u ciebie byle statysta, byle konduktor do przedziurkowania biletów ma jakąś ludzką cechę, jakieś swoje życie... Ale koszty, chłopie, koszty dystrybucji! Przecież wiesz, jak to żre pamięć.

– Przepraszam, Al, nie ucz mnie mojej roboty. Zużywam dokładnie tyle pamięci, ile jest potrzebne do uzyskania optymalnego efektu. Każda oszczędność w ten czy inny sposób zabija złudzenie rzeczywistości.

Awatar Ala pokiwał uprzejmie głową i podjął przerwany wątek, jakby w ogóle nie słyszał ostatnich słów rozmówcy.

– Zdaję sobie sprawę, że dla kogoś z twoim nazwiskiem taka propozycja może brzmieć jak obraza... Ale tylko tyle mogę ci na razie zaoferować. A musimy coś zrobić szybko, żeby jakoś podtrzymać twój kontrakt.

Tego Orin się nie spodziewał.

– Podtrzymać kontrakt? Musimy podtrzymać mój kontrakt?

Zza kapitańskiego biurka dobiegło ciężkie westchnienie.

– Czy ty w ogóle nie sprawdzasz stanu konta? Mój Boże, jak ja bym chciał być artystą. Chłopie, nie możesz liczyć całe życie na swojego „Wilhelma”. Wiesz, ile osób sięgnęło w ostatnim miesiącu po demo? Sto siedemnaście. Jeśli zejdziesz poniżej setki, po trzech miesiącach zdejmą go z naszych serwerów, takie są zasady. I jeśli do tego czasu nie będę miał od ciebie nic nowego... No wybacz, ale żadna firma nie rozdaje zasiłków.

– Nie potrzebuję zasiłków, do cholery! – A jednak Orin nie wytrzymał. – Zrobiłem najlepszą grę, jaką kiedykolwiek miałeś w dystrybucji, i...

– I ja jej nie mogę kupić. Uwierz, naprawdę mnie to boli, ale nie mogę. Nie w tej wersji. Chcesz, idź do konkurencji, punkt dwudziesty szósty kontraktu. Słuchaj – Al zawahał się nagle z błyskiem podejrzliwości w oku – a może ty mnie specjalnie tak przyciskasz, żeby otworzyć tę opcję? Jeśli tak, to nie musisz, dam ci zgodę od ręki. Jakaś mała, niszowa firma, targetowana na hobbystów, może zdoła na twoim „Walcu stulecia” nawet zarobić. Ale ja wszystko, co mogę wziąć, to jeden wątek: prosta misja, sensacja i szczypta erotyki, na jedną, góra dwie postaci. I bez tej całej polityki. Ludzie rzygają polityką. Załatwię ci nawet na główną kobietą postać Luke, chcesz?

Orin nie chciał. Jak wszystkie sławne postaci, była pewnie obłożona dziesiątkami idiotycznych pomysłów swojego kreatora.

– Daj spokój, Luka jest przechodzona.

Przez dłuższą chwilę Al patrzył tylko na niego smutnym, współczującym wzrokiem. Wcale nie musiał mówić tego na głos.

– Nie ma konieczności podejmowania dzisiaj decyzji – rzucił pojednawczo. – Prześpij się z tym, zobacz, co się dzieje na twoim koncie. Ja wiem, że ciężko kroić własną fabułę, kiedy się nad nią tyle pracowało. Ale musisz mnie zrozumieć...

Dopiero wracając poprzez surrealistyczne, jakby powijmowane z albumów Salvadora Dalego pejzaże sieci AC Games, Orin uświadomił sobie, że najbardziej zabolął go w tej rozmowie nie wyrok na ukochane dzieło, ale to, czego Al wcale nie powiedział na głos. Czego nie musiał mówić. „Ty też już jesteś przechodzony”. Miał to po prostu wypisane w oczach, mimo całej tej nieszczerzej życzliwości, jaką nappełnił je komputerowy retusz.



Problemy z AC Games. Właściwie było to coś oczywistego, do czego dawno już przywykł. Zaczęły się niemal naza jutrz po sukcesie, przy „Bitwie pod Cuszimą”. Przygotowywał ją o pół roku dłużej, niż przewidywał kontrakt, i ostatecznie dał się przekonać do odstąpienia od pierwotnego zamysłu. W efekcie powstał system znacznie lepiej skonstruowany od „Wilhelma”, lecz nie dorównujący mu popularnością. Owszem, miał publiczność i tak jak poprzednia gra przyniósł Orinowi nagrodę Wahrenhoffa. Ale wzbudził uznanie głównie pośród kolegów po fachu i konkurentów, którzy natychmiast zaczęli zrzucać jego pomysły

krótkich łączy matrycy i zbiorowego modelowania przez jeden jej obszar wielu postaci. AC Games zdjęło „Cuszymę” z serwerów i zarchiwizowało ją już prawie rok temu.

Tłumaczyli słabe zainteresowanie brakiem w grze kobiet. Rzeczywiście. Jakim niby cudem Orin miałby tam wsadzić kobiety? Do gry, która zaczynała się wyruszeniem rosyjskiej floty z Bałtyku, a kończyła jej beznadziejną rzezią na Morzu Japońskim? Do fabuły, która niemal w całości rozgrywała się na okrętach wojennych?

– W porządku, chłopie – perswadował na to sejslmen koncernu. – To idź w grę strategiczną. Zrób głównym bohaterem Rożestwieńskiego, Niebogatowa albo Enkwista, któregoś z oficerów sztabu, daj graczowi możliwość poprowadzenia bitwy, ustawienia szyku, walki...

Orin ustąpił. Teraz nie mógł tego odżalować.

W AC Games nic nie rozumieli. Bohaterem „Cuszymy” nie mógł być żaden z admirałów ani dowódców pancerników, bo Orinowi nie chodziło o to, kto wygra morskie starcie. Wiadomo było, kto je wygra, Rosjanie nie mieli ani cienia szansy. Bohaterem gry był w pierwotnym zamysle skromny porucznik Cywiński, dowódca wieży działowej średniej artylerii na liniowcu „Borodino”. Nikt, kto by zmieniał bieg historii, przeciwnie, jeden z takich, po których historia przejeżdża się jak walec, nie dając szansy ani na przeżycie, ani na sensowną śmierć. Jeden z wielu Polaków służących w ówczesnej rosyjskiej marynarce, a zarazem jeden z nielicznych, którego zdjęcie zachowało się i, zrekonstruowane komputerowo, wpadło Orinowi w ręce podczas przetrząsania archiwów floty w Sankt Petersburgu. Porucznik Cywiński z pancernika „Borodino”: młody oficer w odprasowanym mundurze galowym, upozowany

z prawą ręką na biodrze i dumnie uniesionym podbródkiem, z teatralnie wypielęgowanymi bokobrodami oraz czarnym, przyszytych wąsem, który w jego czasach musiał rozpalać pożądanie kobiet. Zginął w bitwie.

Kim był, zastanawiał się wtedy Orin, patrząc godzinami na wyświetlone na głównym ekranie pracowni zdjęcie, starając się przemknąć myślą dzielące go od tego człowieka stulecie wojen, zbrodni i nieszczęść. Czy dręczyło go poczucie daremności starań i poświęceń, nieuchronności zawisłego nad światem zła? Oficer rosyjskiej floty, ale Polak, więc ktoś wszędzie obcy, niemający powodu życzyć dobrze ani carowi, ani jego imperium, któremu służył; tak przynajmniej Orin go sobie wyobrażał. Oficer rangi na tyle niskiej, by nie móc nic zmienić – ale już wystarczająco wysokiej, by znać sytuację w całym jej absurdzie. By widzieć, jak głupota, ośli upór i kompleksy admirała pchają eskadrę w sytuację bez wyjścia, jak potężna ekspedycja, żegnana kwiatami i pewnością zwycięstwa, zamienia się w korowód pogrzebowy, ciągnący przez pół świata na niechybną zagładę, na śmierć w niepotrzebnej nikomu ofierze za nieudolnego władcę i jego skazane na rychły upadek imperium.

Oczywiście, w AC Games najpierw zamilkli ze zdumienia, a potem podnieśli wrzask: przecież tak pomyślana gra w ogóle nie miała zwyczajowej w scenariuszach „misji”, którą gracz powinien wykonać, aby zdobyć rękę księżniczki i pół królestwa. Dla Orina to było nieistotne; chodziło o przeżycie historii, znalezienie się w skórze człowieka poddanego takim musom i o to, by pozostać w zgodzie z wymogami oficerskiego honoru, nie poddać się do końca, nie dać się zgnoić. Nie zdezerterować podczas bunkrowania w wietnamskim porcie, oprzeć się pokusie

uczestniczenia w rewolucyjnym spisku młodych oficerów, zainspirowanym, jak miało się w końcu okazać, przez japoński wywiad. Zwycięstwem gracza było polec w bitwie, do ostatniej chwili na stanowisku, z pełną świadomością, że wszystko to nie ma za grosz sensu. To działo się jeszcze w czasach, gdy Orin, może pod wpływem Malaspiny, bardzo był przejęty takim łatwym romantyzmem.

Niewiele z tych zamiarów zostało w ostatecznej wersji. Albo, patrząc na to z innej strony, zostało z nich jednak za dużo. Zmienił w końcu bohatera, znalazł w archiwach innego Polaka, dowódcę kontrtorpedowca, jednego z trzech okrętów, które zdołały wyrwać się z bitwy i przedrzeć do portu. AC Games nadal narzekało, ale w końcu to kupiło. Wyjść cało z rzezi i ująć pogoni – to już była jakaś misja, którą potrafili zrozumieć. Krótko mówiąc, „Cuszima” stała się jeszcze jedną rozgrywką wojenną, tak że koncern nie miał problemów z przyseregowaniem jej do odpowiedniego działu. Ale pozostał ten nastrój, który ogarnął Orina nad zdjęciem porucznika carskiej marynarki i dzięki któremu „Cuszima” powstała. Nastrój beznadziejności, upiornego korowodu, przygnębiającego bólu, który Orin pewnego dnia odkrył w sobie i którym chciał się dzielić.

– Chłopie, fantastycznie zrobiona gra – powiedział mu jeden z ważniaków na którymś z tych przeklętych wytworów przyjęć, na jakie wyciągała go Malaspina. – Ale muszę ci się przyznać, że nie wytrzymałem nawet do połowy. Dla mnie to zbyt ponure.

To był właśnie jego problem jako kreatora systemów. Ludzie nie chcieli, by poił ich swoją goryczą. Sięgali po grę, aby się oczyścić, przeżyć łatwe, proste wzruszenia

świata, w którym wiadomo, gdzie dobro, gdzie zło i jak się odnaleźć. Ślali potem do firmy pełne obelg mejle, cedzone zduszonym wściekłością głosem. Ale przecież bywało także inaczej. Wiedział na pewno, miał ich listy, że byli tacy, którzy zrozumieli, którzy poczuli, czym chciał się podzielić, przeżyli... I to było najważniejsze.

Odpuszczał z „Cuszimą”, bo już wtedy traktował ją jak odprysk, drobny fragment poważniejszego projektu, nad którym zaczął w pewnym momencie przemyśliwać. Jak przymiarkę do „Walca stulecia”. Wtedy to był jeszcze mglisty zarys, niejasne przeczucie jakiejś wielkiej, ważkiej historii – no i to, od czego zazwyczaj zaczynały mu się gry: nastrój. Podobny jak w „Cuszimie”, ale jeszcze bardziej wszechogarniający nastrój upadku, rozprzężenia, zagłady.

– Cały czas jesteś u nas gwiazdą – powiedzieli mu dwa lata temu, kiedy przedstawiał pierwszy zarys nowej gry; wtedy jeszcze rozmawiali nie przez sieć, ale osobiście, w biurach filii w Reims. A teraz, kiedy był już tak blisko końca, wirtualny fantom Ala rozkładał przed nim bezradnie ręce, mówiąc, że nie stać go na takie inwestycje.

To nie było w porządku.



Długo czekał wieczorem na Malaspinę. Zeszła na kolację późno, zmęczona i zła – coraz częściej widział ją w takim stanie, a może coraz częściej zwracał na ten stan uwagę. Musiała być tuż po treningu: na szyi przysychały strużki potu, oddech wciąż jeszcze zdradzał niedawny wysiłek. Falujące piersi napinały kusząco materiał błękitnego szlafrocza.

– Już skończyłeś? – powiedziała tylko.

Kuchnia była dość ciasna, przy projektowaniu domu woleli przeznaczyć więcej miejsca na salon, i kiedy tak siedział przy drzwiach, po swojemu oparty ramieniem o ścianę, Malaspina, żeby wejść, musiała się o niego niemal otrzeć. Na chwilę Orina ogarnął delikatny, przytłumiony dezodorantami zapach jej potu. Nie mógł zrozumieć, co w tym zapachu tak go brało; w każdym razie choć doskonale wiedział, co będzie dalej, choć po tysiącokrotnie przysięgał sobie, że już nigdy – gdy nachyliła się nad wyświetlaczem, a skraj błękitu podjechał wysoko po jej udzie, aż do krawędzi majtek, wyciągnął rękę i pogładził skórę żony, tak samo gładką i jędrną jak zawsze.

– Jestem spocona! – Uchyliła się gwałtownie niczym porażona prądem, ale ani na chwilę nie przestała błędzić palcami po fosforyzujących wzorach wyświetlacza. – Jadłeś?

– Nie... Nie, na razie dziękuję.

Wyglądała w tym szlafroczyku cholernie kusząco. We wszystkim wyglądała cholernie kusząco. Malaspina: wysoka, posągowo zbudowana blondynka, smukłe uda, wypracowane ćwiczeniami oraz elektrostymulacją pośladki i talia, sterczące wyzywająco piersi, a do tego wszystkiego to spojrzenie – wyniosłe i jakby pogardliwe, spojrzenie kobiety, która doskonale zna swoją wartość i nie zamierza tracić na darmo bodaj jednego uśmiechu. Każdy, kto zobaczył Malaspinę, marzył, by się z nią przespać. Wszyscy o tym marzyli.

Jej mąż także.

Cofnął dłoń, nie przestając przypatrywać się w zamyśleniu niknącemu między pośladkami żony klinowi cienutkiej bawełny.

– Znowu kogoś zećpali – powiedziała, prostując się powoli. Podstawiła dzbanek pod kran filtru wody, czekając, aż Orin jakoś zareaguje na jej słowa.

– Tak?

– Tuż koło nas – oznajmiła. – Dwie przecznice w stronę miasta.

– Niemożliwe?! – Oderwał od niej wzrok, uświadamiając sobie znaczenie tych słów.

Ten jej nawyk oglądania wiadomości. Zawsze ćwiczyła w goglach, by potem męczyć go streszczaniem, co w nich zobaczyła. Zresztą Malaspinę przynajmniej usprawiedliwiała jej praca. Inni wślepiali się w serwisy informacyjne zupełnie bezinteresownie, chłonęli je z zapalem i w takich ilościach, że w końcu wszystkie wiadomości mieszały się ze sobą, wymazywały jedna drugą i nie zostawało z tego nic, tylko zalepiający mózg glut z poodrywanych słów i migających obrazków.

Orin nie chciał zalepiać sobie mózgu. Starał się, na ile to było możliwe, kiedy pracowało się głównie w sieci, omijać serwisy i polityczne klipy jak najdalej. Malaspinę to irytowało. Widziała w tym przejaw rezygnacji i bierności, których nie pochwałała. Dlatego korzystała z podobnych okazji, by przekazać mężowi wiedzę o najnowszych wydarzeniach. Inna sprawa, że z reguły wybierała do tego politykę oraz sprawy międzynarodowe, a nie kroniki lokalne.

– Jakiegoś faceta – podjęła. – Nie pamiętam nazwiska, w każdym razie nic mi nie mówiło. Nikt znajomy.

– Co tutaj robił?

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie jakiś włóczęga. Przecież nie o to chodzi.

Tak, nie o to chodziło. A o co? O to, że takie rzeczy nie powinny zdarzać się w ich dzielnicy. W mieście owszem, tam można się spodziewać wszystkiego. W mieście takie rzeczy były na miejscu, ale przecież nie tu, na ich osiedlu, pełnym elektronicznych bramek, kamer i strażników.

– Cholera – powiedział. – To się nie powinno u nas zdarzać. Za co, do diabła, płacimy tyle pieniędzy?

– Właśnie – odparła Malaspina.

Filtr zamrugał kilkakrotnie zielonym światłem, elektroniczna pozytywka odegrała skoczną, krótką melodię, sygnalizując, że analiza oraz uzdatnianie gwarantowaną metodą SuperSec zostały zakończone i że woda nadaje się do picia. Kran otworzył się na parę sekund i automatycznie zamknął po napełnieniu dzbanka do dwóch trzecich.

– Dom, sto stopni. Właśnie – podjęła, wstawiwszy dzbanek do ekspresu. – Skoro jesteśmy przy pieniądzach...

Westchnął równie boleśnie, jak niedawno robił to fantom Ala.

– Orin, nie chcę cię męczyć, ale od pół roku jedziemy tylko na moich zarobkach. Zamierzasz wreszcie coś z tym zrobić?

– Tak, zamierzam. Pewnie, że zamierzam. Musimy o tym rozmawiać właśnie teraz?

– A kiedy mamy o tym rozmawiać? – Usiadła naprzeciwko z filiżanką naparu i sałatką. – Ilekroć wspomnę o pieniądzach, mówisz dokładnie to samo: „Czy musimy o tym rozmawiać akurat teraz?”. Powiedzmy, że teraz nie musimy. Tylko bądź łaskaw wyznaczyć jakiś termin. No więc kiedy?

– Myślę o tym, nie martw się.

Wzruszyła gniewnie ramionami.

– Myśl o tym, jak skończyć grę i ją sprzedać. Rozmawiałeś już z nimi?

Prawdę mówiąc, po to tu właśnie siedział, czekając, aż Malaspina wyjdzie ze swoich pokoi. Po to, by porozmawiać o „Walcu stulecia”, o AC Games i propozycji Ala. By opowiedzieć jej to, wyrzucić z siebie, podeprzeć się jej radą.

– Jeszcze się nie odezwali.

– A jeśli nie wezmą? – powiedziała nagle.

– Ich strata. Najlepsza gra, jaką w życiu zrobiłem. Nie oni, to inni, ktoś zawsze kupi.

Nie wyglądała na przekonaną.

– Mogę zawsze spróbować poza główną siecią. To nie jest tak, że poza wielkimi koncernami nie ma już żadnego rynku. Są dziesiątki niezależnych firm, małych, ale rzutkich...

– Komu będziesz bajki opowiadał – zgasiła go. Milczeli przez chwilę. – Więc nie wezmą?

– Nie wiem! Co się martwisz na zapas? Coś wymyślę.

Jakież to było wkurzające. Cokolwiek obudził w nim zapach potu Malaspiny, zostało tą rozmową skutecznie przepędzone.

– Orin, przestań mnie i siebie oszukiwać – perswadowała. – Nie wiedzie ci się ostatnio. To się zdarza, rozumiem. Nie masz powodu histeryzować, po prostu trzeba się chłodno zastanowić nad sytuacją i wyciągnąć z niej wnioski, tylko tyle. Od pół roku praktycznie nie zarabiasz. Ja się zdecydowałam pracować przy kampanii, muszę zawiesić praktykę, a to znaczy, że tracę większość dochodów, przynajmniej na parę miesięcy. A odsetki trzeba spłacać.

Ten jej ton, kiedy tak wykladała coś punkt po punkcie; to go po prostu dobijało.

– To co, mam nie zamawiać scenografii, robić każdy drobiazg samemu? W takim tempie nie skończę za dziesięć lat.

Był pewien, że zaraz usłyszy coś podobnego jak w rozmowie z Alem: ogranicz się, bądź rozsądny, zmniejsz liczbę postaci, nie pakuj tylu wątków. Ale Malaspina zbyt dobrze go знаła.

– Nie mówię, że powinieneś oszczędzać na grze. Oszczędzaj na czym innym.

– Podpiszemy drugi kredyt najwyżej. Sprzedam grę, to oddamy.

Pokręciła głową.

– A jak nie sprzedasz? Wołałabym, żebyś raczej załatwił sprawę z ubezpieczeniami.

No tak.

– Nie chcę o tym słyszeć. – Zebrał się w sobie, aby jego głos zabrzmiał jak najbardziej stanowczo. – Rozmawialiśmy już na ten temat i więcej nie będziemy.

– Owszem, będziemy. – To nie był dobry pomysł, jej głos także natychmiast stwardniał, niemal w ułamku sekundy; zabrzmiała w nim skrywana furia. Wiedział, że jeszcze moment, jeszcze jedna taka wymiana zdań i Malaspina wybuchnie złością. – Uparłeś się jak dziecko i będziemy o tym rozmawiać tak długo, aż zaczniesz myśleć.

– Proszę cię, przestań. – Musiał teraz przybrać cichy, żalotny ton, jakby miał zaraz umrzeć. – Nie dziś. Jestem zmęczony, nie chcę się na noc denerwować, znowu nie będę mógł zasnąć.

– To pobiegaj trochę – powiedziała już spokojniej. – Tylko wysiadujesz po całych dniach w gnieździe, nic dziwnego, że nie możesz spać. Obrosłeś już sadłem, aż wstyd się gdzieś z tobą pokazać.

Ugryźł się w język. Kiedyś by ci to nie przeszkadzało, myślał tylko, patrząc, jak żona wstaje od stołu i odkłada naczynia do zmywarki.

– Idę spać. Przyjdiesz dziś?

Przyjdiesz dziś. Parsknąłby drwiąco, gdyby nie fakt, że to też, nawet tyle, byłoby rozdrapywaniem czegoś, czego instynktownie nie chciał ruszać. Nie miał sił, żeby ruszać.

To nie była oziębłość, znudzenie partnerem – nic prostego, co znalazłby w seksuologicznych poradnikach. W zasadzie, gdyby podejść do sprawy czysto mechanicznie, wszystko było w porządku. Tylko jakaś niehumanitarna sztywność; jakby kochał się z robotem. Jakby Malaspiny tam nie było, pod tą wypielęgowaną, pachnącą skórą. Niczego w ogóle: tylko pobudzające impulsy korowe z przyłącza. Bez łącza w ogóle nie pozwalała, tak jak bez całego rytuału kąpieli, przygotowań, specjalnych kosmetyków na noc... Marzył, żeby kiedyś ot tak, po prostu pójść do łóżka, bez robienia z tego od razu przedsięwzięcia. Ale kiedy próbował coś delikatnie sugerować, Malaspina sztywniała jeszcze bardziej i wtedy to było już w ogóle dno, aż uznał, że trzeba się po prostu pogodzić, nie myśleć, nie można przecież mieć wszystkiego.

– Muszę jeszcze popracować. I pobiegać.

Zaśmiała się, odchodząc. Śledził ją kątem oka, kiedy sięgała szlafrok i wchodziła do kabiny natrysku.

Nie chciał pokazać Malaspinie, jak bardzo zdołała go dotknąć. Nie chciał dać jej poznać, jak skuteczną broń wymyśliła – zachowywała ją wtedy w swoim arsenale i używała jej bezlitośnie. Nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą. Nie chodziło wcale o sado. Rzeczywiście – w drodze do schodów zatrzymał się na chwilę przed lustrem w przedpokoju – jego ciało sflaczało i jakby

opuchło, powoli upodabniał się do bladego, tłustego robaka, rozdymanego od wewnątrz ciśnieniem wodnistej treści. Nieważne. Któregoś dnia wróci mu nastrój, by o siebie zadbać, i wtedy szybko odzyska formę.

Chodziło o coś innego. Gdyby był nadal na fali, mógłby do woli obrastać sadłem. Dopóki był na fali, Malaspinie nie przeszkadzały jego kaprysy, przepłacana składka w ubezpieczeniach ani dziecięcy upór. O tak, wtedy nie wstydziła się z nim pokazywać. To ten facet od „Wilhelma Zdobywcy”, słyszałem, że podobno robi teraz „Bitwę pod Cuszimą”. Pół roku w pierwszej dwudziestce, jak na grę historyczną, to po prostu rewelacja. Twój mąż ma prawdziwy talent, Malaspina, wszyscy ci zazdroszczą, uśmiech-uśmiech.

Prawdziwy talent. Na krótko tego talentu starczyło, pewnie mówili za jego plecami, jeśli jeszcze w ogóle o nim mówili.

Szlag.

I tym sposobem wszystko wróciło do punktu wyjścia: do „Walca stulecia”. Z łazienki dobiegło buczenie uruchamianego natrysku. Orin oderwał się od lustra i ruszył ku schodom, poddając się bezwolnie walczącym gdzieś głęboko w jego wnętrznościach siłom – jednej, która ciągnęła go do gniazda komputera, popychała, by zaraz podłączyć implant i nie dbając o późną porę, wrócić do gry, i drugiej, która od tego odpychała. Zawsze tak ze sobą walczyły, sprawiając, że krążył i krążył wokół gniazda, przekładając jakieś nieistotne drobiazgi, wynajdując sobie w nieskończoność bezsensowne zajęcia i marnotrawiąc czas. A kiedy wreszcie siadał do pracy, też jeszcze nie potrafił się do niej zabrać od razu – najpierw długo bawił się

konfigurowaniem po raz nie wiedzieć który podstawowego interfejsu czy bezmyślnym przepatrywaniem domowych zapisów.

Być może właśnie tego chcąc uniknąć, nieoczekiwanie dla samego siebie skrzył w stronę pokoju gimnastycznego. Google wisiały tak, jak je zostawiła Malaspina, na poręczy slimslajdera. Podniósł je; wciąż były włączone.

Postawił prawą stopę na jednej z klamer ślizgających się miękko po równoległych, zakrzywionych niczym bieguny fotela szynach. Pokrycie klamry wydęło się, otaczając pantofel twardym, półtoracentymetrowym występem. Postawił drugą nogę, a potem założył gogle, w których nadal jarzył się interfejs serwisów informacyjnych, i na oślep chwycił otulone miękką pianką uchwyty dla rąk.

Szarpnął się i z trudem wykonał pierwszy krok, a po nim kilka następnych. Jego nogi i ręce z ledwością pokonywały opór.

– Słabiej – powiedział i przez chwilę daremnie czekał na efekt. – Dom – powtórzył, teraz już z właściwą komentacją – zmniejsz obciążenie. Jeszcze... Wystarczy.

Opór ustąpił. Orin ruszył długimi, rytmicznymi posunięciami rąk i nóg w komputerową poświatę sączoną do oczu przez gogle. Odetchnął parę razy głęboko, rozgrzewając się.

W przednią część uchwyty na prawą dłoń wtopiono chropawą, twardą płytkę czułego na dotyk tworzywa. Przejechał po niej czubkami palców – świetlna strzałka, skryta w rogu pola widzenia gogli, ożyła i powędrowała posłusznie w prawo, w lewo i do góry, gdziekolwiek skierował ją ruch palca. Wciąż poruszając się rytmicznie, ni to płynąc, ni biegnąc przez nieistniejącą przestrzeń, Orin naprowa-

dził kursor na okno serwisów lokalnych, a kiedy urosło, spychając na bok inne, i ożyło, wywołał spis wiadomości. Nie musiał długo szukać, morderstwo w Muizon było główną informacją dnia; krwistoczerwone odsyłacze na dole strony informowały o jej rozszerzeniach oraz komentarzach w serwisach regionalnych i krajowych. Jak na złość dopadła go akurat reklamówka ubezpieczalni – zanim zaczęły się newsy, świetnie zakonserwowana czterdziestka zapewniała przez pół minuty, że dzięki jakiemuś tam programowi czuje się wspaniale, jest bezpieczna i oszczędza mnóstwo pieniędzy.

Nawet nie zauważał, że jego ruchy stają się coraz bardziej gwałtowne; szarpał uchwyty, jakby chciał je poodrywać. Człowiek, którego nadjedzone zwłoki leżały o dwie przecznice od Willi Orina, nazywał się Thoury, Leon Thoury, i w chwili gdy go znaleziono, miał na sobie smoking ze smartu, sztucznego jedwabiu z inteligentną strukturą kolantowych włókien, samoczynnie zmieniającego barwy i desenie. Kolorowe prążki wciąż mieniły się na trupie, gdy pod wścibskimi oczami kamer znoszono go do policyjnego ambulansu.

Autochton, sądząc po nazwisku, powyżej czterdziestki, raczej średnio zamożny, choć z jakiegoś powodu tej nocy starał się chyba sprawić wrażenie lepiej sytuowanego niż w rzeczywistości. Pewnie nie wiedział, że wśród naprawdę bogatych stroje ze smartu od jakiegoś już czasu uchodzą za przejaw złego gustu. Ten szpan kosztował Thoury'ego życie – biały, bogaty i po czterdziestce, ulubiona ofiara pastuszków. W chwili śmierci miał we krwi zero sześć promila alkoholu. Akurat dość, by doskonale zdawać sobie sprawę z tego, co go spotkało, ale już za dużo,

by zdołać uciec. Zresztą zapewne nie miał dokąd uciekać. Mordercy wpełnęli mu do ust jego osobisty sygnalizator, alarm był uruchomiony, ale najwyraźniej nikogo nie sprowadził.

W każdym razie w ich okolicy znalazł się przypadkowo, już martwy. Musieli przywieźć go tu samochodem i zrzucić z idącej górą estakady, z głową zmiażdżoną licznymi uderzeniami wypełnionych ołowiem pałek oraz z wyróżnionym sercem i pośladkami, jak to zazwyczaj robili młodzi kanibale. Komputerowe animacje pokazywały w zwolnionym tempie, jak widmowe postaci zrzucają trupa z estakady, później zastąpiła je rekonstrukcja ciała, na której czerwone linie prezentowały kolejne ślady noży i miejsca uderzeń.

Orin nie skorzystał z oferowanych przez serwis wypowiedzi policjantów, psychologów i specjalistów od młodzieżowych subkultur, z montażowych felietonów o ostatnich podobnych zdarzeniach i wszystkim, co z wielkim poświęceniem przygotowały dla niego sieci telewizyjne. Przez chwilę machinalnie zostawił komentarz, ale nie rejestrował sensu ciekających mu w uszy zdań; coś tam się tylko stale powtarzało o jessenistach. W pewnym momencie poczuł, że już dłużej nie może, i zaciskając konwulsyjnie palce na uchwycie, wyłączył serwis; na sekundę zatonął w ciemności, a potem rozpałała się przed nim znajoma komórka domowego interfejsu, z migoczącym sygnałem nieodebranej poczty.

Ale właściwie go nie dostrzegał. Niepotrzebnie obejrzana wiadomość wystarczyła, by imaginacja Orina, wiecznie obolała i drżąca jak otwarta ostryga, zaczęła to, do czego ją od lat ćwiczył i rozwijał, świadomie potęgując swą

wrażliwość aż poza granice rozsądku i bólu: by zaczęła podsuwać mu obrazy, sytuacje i emocje, zasypywać go nimi tak, że zupełnie nie mógł się opędzić...

Oto był tam, był tym podpitym, wystrojonym w drogi smoking nieszczęśnikiem, wracającym z jakiejś niezbyt legalnej imprezy, przed którym nagle stanęła banda dzieciaków. Podobno nie wyglądali jakoś specjalnie – żadnych tam łańcuchów, skórzanych kurtek, ruchomych tatuaży, jak wśród dawnych gangów z podmiejskich dżungli; zwykłe dzieci ze szkół, przejęte swą dziejową misją, walką o lepszy, sprawiedliwy i wolny od zła świat. A więc dzieci, ulica – albo stacja napowietrznej kolejki, a może wagon? W każdym razie ta wataha, osaczająca go ze wszystkich stron. Czy próbował negocjować? Tłumaczył się jakoś, jeszcze liczył na ocalenie czy od razu rzucił się do ucieczki albo próbował pięściami wywalczyć sobie wyjście z kręgu napastników?

A może po prostu poddał się biernie swemu losowi?

W wyobraźni Orin rzucał się na pastuszków, miażdżył pięściami dziecięce twarze, pastwił się nad nimi. Rozsądek natychmiast korygował te wizje, przypominał, że w żadnym wypadku nie mógłby liczyć na siłę i sprawność swoich zaniedbanych mięśni, więc w rękach wyimaginowanego Orina pojawiały się malownicze narzędzia do zabijania, jakieś wielkokalibrowe spluwy, rozkwazające trafionych napastników na miazgę, wzięte wprost z prymitywnych gier taniej masówki AC Games i jemu podobnych koncernów. Ale to nie było to i zaraz wbrew rozsądkowi powracał obraz, na którym Orin miażdżył twarze małych potworów gołą pięścią albo zaciskał im pazury na gardłach, aż do chrupnięcia skręconego karku, i te obrazy

otaczały go coraz ciasniej, nieodparte, obsesyjne, powtarzane wciąż i wciąż...

Uświadomił sobie nagle, że się dusi.

Zatrzymał się. Teraz dopiero dotarł do jego świadomości alarmujący komputerowy pisk, narastający z każdym powtarzanym wściekle przez Orina ruchem. Puls rozsadzał mu skronie, serce uwięzło wysoko w gardle, trawione ogniem płuca nie przyjmowały powietrza. Nawet zdjęcie z twarzy gogli sprawiło mu trudność.

Zszedł ze slimslajdera i usiadł ciężko na podłodze, spocony, czerwony na twarzy, oddychając z trudem. Wariat. Chciało mu się rzygać, z wysiłkiem powstrzymywał torsje, czując, jak wewnętrzne ciśnienie wysadza mu z głowy gałki oczne. Boże, co za wariat.

Mdłości, dudniące tętno i ból w tchawicy odpędziły od niego obrazy walki z pastuszkami. Odpędziły też wspomnienie zapachu Malaspiny, nawet wściekłość na Ala i całe AC Games. Siedział wciąż w pokoju ćwiczeń, nawet wtedy, gdy oddech i tętno już się uspokoiły, a w wyłożonych metalem ustach znowu pojawiła się ślina. Siedział, ogarnięty nagłą słabością, wdychając zapach sosnowego odświeżacza, który dom rozpylił w pomieszczeniu, gdy tylko jego czujniki wywąchały pot Orina. Dom: żadnego nieprzyjemnego zapachu, żadnej odrobiny brudu albo kurzu.

To nieprawda, że uciekał przed informacjami, aby nie zalepiły mu mózgu kolorowym glutem, nie ogłupiły. Uciekał przed nimi, żeby go nie poraniły. Miał nerwy na wierzchu; musiał, żeby jego światy były prawdziwe, żeby ludzie, którzy z nimi obcowali, poznawali w nich prawdziwe emocje, prawdziwe życie. Tego właśnie Malaspina uparcie nie chciała zrozumieć, przerażona rosnącymi za-

strasząco składkami z ubezpieczenia. Musiał pielęgnować swoją cienką skórę, musiał rozhuśtywać emocje w napiętym cyklu przygnębienia i euforii. Tylko dzięki temu umiał czasem poczuć to COŚ, czego szukał i co wydawało mu się najważniejsze. Mieć nerwy na skórze nie było przesadną ceną szlachectwa, ceną bycia tym Orinem Bethlenem, któremu od lat na każdym zjeździe stowarzyszenia autorów gotowano długą owację na stojąco.

Tylko że to bolało.

Dotarł do łóżka, kiedy Malaspina spała już głęboko, ale nie mógł zasnąć. A gdy wreszcie zapadł w wymęczoną leżeniem drzemkę, śniło mu się, że jego ciało pożerają robaki: drążyły w nim setki cienkich, poplątanych kanalików, a on nie był w stanie się bronić.

Dał za wygraną i poszedł do swego gniazda w pokoju na górze pospacerować trochę po cesarsko-królewskim Wiedniu.

Zawsze skuteczny sposób, by zaznać ukojenia: przemierzać w nocnej ciszy opustoszałe zaułki, ścigany tylko dalekim echem turkoczących wozów dostawczych i pogłosem okrzyków rozbawionego towarzystwa opuszczającego nad ranem kawiarnie. A potem aż do świtu – tamtejszego świtu – stać na moście, podziwiając świat umarły ponad stulecie wcześniej, nim wydobyl go z nicości i puścił raz jeszcze w ruch.